

# Maciej Stroiński

---

## Poszalej sobie! Zachęta do pragmatycznego interpretowania literatury

---

Rocznik Towarzystwa Literackiego imienia Adama Mickiewicza 42, 149-154

---

2007

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

*Maciej Stroiński*

Uniwersytet Jagielloński

## POSZALEJ SOBIE! ZACHĘTA DO PRAGMATYCZNEGO INTERPRETOWANIA LITERATURY

Dyskusje na temat interpretacji (...) nie mają nic wspólnego z literaturą. Chodzi w nich bowiem o interpretację jako sposób zakreślania znacznie szerszych granic, a więc w ostateczności o to, jaki jest świat, w którym żyjemy.

Michał Paweł Markowski, *Interpretacja i literatura*  
(Markowski, 2003: 398)

Nietzsche odkrywa „wielość języków”, jaką przystąpiła filozofia prawdy metafizycznej, ale to nie koniec, to zaledwie punkt wyjścia. Podstawowym pytaniem pozostaje: co z tą wielością robimy? Przepuszczamy przez siebie jeden język za drugim, aż nadto świadomi, że żaden nie ma prawa zagrać w nas dłużej miejsca? Nie dajemy się nabrać na żaden, głęboko rozczarowani tym, że świat nie podsuwa nam „słownika ostatecznego”? A może wybieramy ten jeden, skończony, jaki nam świat właśnie podsuwa, i świadomie umiejscawiamy się w naszym metafizycznym zaścianku?

Agata Bielik-Robson, *Nasza mała destabilizacja*  
(Bielik-Robson, 1998: 52)

Czy w interpretacji wszystko ujdzie? Zapytam inaczej: czy o *Pani Bovary* można powiedzieć, co tylko się chce? Problem jest nienowy, co jednak nie przesądza o aktualności jego możliwych rozwiązań. Przedstawię pogląd, według którego o *Pani Bovary* jak najbardziej można powiedzieć wszystko, ale nie wszystko naraz.

Pogląd, według którego o *Pani Bovary* można powiedzieć wszystko, nazwijmy pragmatycznym. Głosi on, że biorąc *Panią Bovary* do ręki, możemy z nią zrobić, co tylko chcemy. Czyli np. możemy wyrzucić ją do kosza? Owszem, to

też, jednak pragmatyczna teoria interpretacji nie wypowiada się w tym względzie, ponieważ zajmuje się tekstami, a tych – jako bytów niematerialnych – nie da się wyrzucić do kosza. Umieszczenie książki w koszu na śmieci jest oczywiście wyrazistym, choć milczącym sposobem na jej zrecenzowanie, jednak jako czynność niejęzykowa nie mieści się w kategorii interpretacji. Sprecyzujmy więc: pragmatyczna teoria interpretacji twierdzi, że wobec *Pani Bovary* dopuszczalne są wszelkie zachowania językowe.

Owe „wszelkie zachowania językowe” da się rozdzielić na zachowania profesjonalne, o których za chwilę, i całą resztę, o której potem. Zachowania profesjonalne są właściwe fachowcom: podejmuje się je z pobudek zawodowych, np. z chęcią zdania kolokwium albo z zamiarem przedłożenia pracy habilitacyjnej. Żeby zdać kolokwium „z *Pani Bovary*” lub uzyskać habilitację „z Flauberta”, trzeba wykazać się odpowiednim stopniem fachowości, czyli trzeba podołać różnym instytucjonalnym wymogom, które – jak powiedziałyby Stanley Fish – wyznacza akademicka wspólnota interpretacyjna. I jest to w pełni zrozumiałe i do przyjęcia. Równie zrozumiałe jest to, że po *Panią Bovary* sięgamy nie tylko przed kolokwium zaliczeniowym bądź habilitacyjnym. A wtedy, gdy stawką nie jest wykazanie się, zachowania nieprofesjonalne są jak najbardziej na miejscu, czyli wolno z *Panią Bovary* wyprawiać, co tylko dusza zapagnie. Jednak przy okazji trzeba się wyzbyć pretensji do „bycia nagrodzonym”: za – nawet najszczerze – lzy wylane nad losem nieszczęsnej Emmy Bovary habilitacji nie dają.

Bywa, że spontaniczne, niezawodowe zabiegi interpretacyjne sprawdzają się, przynosząc imponujące rezultaty, co jednak nie musi skutkować zaliczonym kolokwium lub stopniem doktora habilitowanego. Dlaczego? Dlatego, że zaliczenia kolokwiów i stopnie naukowe to domeny fachowców i metodyczna fachowość obowiązuje tak przy ich zdobywaniu, jak przy ich przyznawaniu. Jeśli akademicka wspólnota interpretacyjna ma pozostać sobą, to przestrzegania reguł gry musi wymagać od wszystkich swoich członków: i tych, którzy aspirują do habilitacji, i tych, którzy ją nadają (w przeciwnym wypadku doszłoby m.in. do inflacji wartości stopni naukowych). Pamiętajmy przy tym, że profesjonalizm – tak jak jego brak – dobry jest wtedy, gdy zna swoje miejsce: robota niezawodowa nie jest bezwartościowa, lecz jest właśnie „nie-zawodowa”, czyli nie przynosi profitów na polu profesji. Habilitacja jako akt administracyjny nikomu jeszcze rozumu nie dodała, a jej brak nikomu go nie odjął.

Zgodziliśmy się już co do tego, że jeśli akurat nie pisze się kolokwium albo pracy habilitacyjnej, wolno czytać literaturę swobodnie i niefachowo. Podstawowa intuicja pragmatystów w tym względzie wygląda tak: niefachowe korzystanie z tekstu również jest jego interpretowaniem. Lekturom naiwnym (niekrytycznym,

„niepodejrzliwym”) możemy odmówić wstępu na salony uniwersyteckie, ale nie możemy odmówić im miana – lepszych bądź gorszych – interpretacji. „Rewolucja pragmatyczna” w teorii interpretacji polega na rozszerzeniu jej przedmiotu: nazwa „interpretacja” według pragmatystów przysługuje nie tylko „drobiazgowej analizie”, „rzetelnemu komentarzowi”, „wydobyciu sensu dzieła”, ale również całej reszcie tego, co robimy lub robić możemy z tekstami (chodzi, jak już zaznaczyłem, o to, co robimy z tekstami w języku, bo tylko dzięki niemu możemy z nimi robić cokolwiek). Pragmatyści równouprawniają to, co w interpretacji metodyczne i zaprogramowane, z tym, co nieprzewidywalne i „szalone” – ale to równouprawnienie działa tylko „na starcie”, przy podejmowaniu decyzji, jak czytać (zawodowo czy z miłości, czyli po „amatorsku”?), jeszcze zanim odczytania wejdą w przestrzeń społeczną, czyli zanim staną się dostępne nie tylko interpretującemu. Rada pragmatystów jest taka: czytajcie, jak tylko chcecie, a wtedy się zobaczy, czy z tego czytania wyjdzie coś pożytecznego. *Primum vivere, deinde interpretari*.

To „coś pożytecznego”, co wydarza się w przestrzeni społecznej, jest wewnątrzpragmatycznym żyroskopem i granicą samego pragmatyzmu: pytanie o użyteczność jest dla pragmatystów pytaniem pierwszym i najważniejszym. Oceniając wartość „czegoś” (np. odczytania, pojęcia, opozycji pojęć), zastanawiają się pragmatyści: co z „tego” wynika? Do czego „to” prowadzi? Co nam „to” daje? Postawieni przed opozycją „literaturoznawcza egzegeza – czytelnicza wolna amerykanka”, pragmatyści dociekają: czy ta różnica robi różnicę? A jeśli tak, to komu i kiedy? Różnica między fachową robotą a amatorszczyzną robi różnicę, jak już podkreślałem, na kolokwiach zaliczeniowych i habilitacyjnych. Jest to różnica proceduralna (za fachową robotę – gratyfikacja, a za amatorszczyzną nie), ale nie „metafizyczna” (fachowcem się po prostu jest): według pragmatystów fachowość nie jest twardym faktem ontologicznym, lecz wypadkową wymagań instytucji i umiejętności jednostki. Zatem różnica między egzegezą tekstu a jego użyciem gra rolę w okolicznościach profesjonalnych – ale przecież profesjonalistą się „bywa”, nikt, nawet Henryk Markiewicz, nie jest nim przez całą dobę. Markiewicz wyznaje, „że nie pije, nie pali, nie chodzi po lokalach” (Markiewicz, 2006: 91), a skoro się w tym względzie określa, to znaczy, że przychodzi mu na myśl i takie pory dnia, gdy mógłby całe swoje zawodowstwo puścić z dymem i obgadać Karola Bovary z kolegami od kieliszka.

Kryterium oceny interpretacji, jakie obierają pragmatyści, jest tak elastyczne, że prawie bezużyteczne: wykładnia jest według nich dobra (czyli użyteczna) niekoniecznie wtedy, gdy rzetelnie odnosi się do tego, co interpretuje, lecz wtedy, gdy jest interesująca, wpływowa, jeśli „zmienia nasze pojmowanie siebie” lub po prostu spełnia jakieś nasze cele. Jeffrey Stout, na co dzień religioznawca, uj-

muje to następująco: „Interpretacja, żeby nas zainteresować, nie musi być prawdziwa lub uzasadniona. Niekiedy interpretujący jest na tyle silny, by wszystko, co napisze o danym tekście, uczynić ciekawym. Nikt nie czyta Derridy po to, by dowiedzieć się czegoś o Rousseau” (Stout, 1982: 7). Apologia tych wykładni, które – na to wygląda – nijak się mają do komentowanych tekstów i ich znaczeń, bierze się tu z przesłanki, że „znaczenia – jeśli w ogóle istnieją – mogą okazać się tym, co w tekstach »najmniej« ciekawe” (ibidem).

Jeżeli jest tak, jak chcą pragmatyści, czyli że pożytek potencjalnie kryje się we „wszystkim”, co robimy z tekstami, to wypada zaprowadzić w tym „wszystkim” porządek. Jak już wiemy, do „wszystkiego”, co można zrobić z tekstami, przynależą też manewry wywrotowe, a nawet – szalone. Jak traktować tych, którzy je stosują? Z należytą uwagą. W końcu każdy wariat ma swoją historię, której opowiedzenie i wyłożenie może go uleczyć.

Niefortunne posłużenie się zaleceniami pragmatystów może owocować właśnie tym: szaleństwem. Same nieprofesjonalne użycia tekstu są wystarczająco szalone, by dokładać do nich pomieszenie wyższego stopnia: połączenie rzetelnej egzegezy z czytelniczymi breweriami. Próbując zastosować oba rejestry interpretacyjne łącznie, pozbawiamy grę, jaką jest interpretacja, reguł. Zmieszanie nieprzewidywalnych języków skutkuje „wielosłowiem”, czyli po prostu bęłkotem. Czytelnik, który chce jednocześnie wystąpić w roli skrupulatnego czytacza i „prostaczka interpretacyjnego”, kończy jako opętany: „mówi językami”. „Demoniczne użycia” są, rzecz jasna, rozkoszne i potencjalnie twórcze, ale wtedy tylko, gdy nie pchają się tam, gdzie nie trzeba. Szaleństwo, któremu brak metody, zdecydowanie nie nadaje się do druku.

Nad tych chaosem można zapanować, jeśli odnajdzie się ową zagubioną metodę. Jest nią wspomniany już wielokrotnie podział na dwa „porządki interpretacji”. Okazuje się, że różnica między egzegezą a użytkiem naprawdę robi różnicę. Pragmatyści umożliwiają wybór – „stań się egzegetą bądź, wedle życzenia, użytkownikiem” – po to tylko, byśmy faktycznie „wybrali”, a nie tkwili w jałowym, aporetycznym zawieszeniu (ponowoczesna „kultura wyczerpania” jest właśnie następstwem niechęci do samoograniczenia, do rezygnacji z czegoś na rzecz czegoś innego, co skutkuje kłębowiskiem przeciwstawnych pragnień, czyli zdezorowanym pluralizmem). Pragmatyzm nie służy niezdecydowanym.

Pasterze nieredukowalnej inności będą skłonni zarzucić mi, że ujmując interpretacyjne szaleństwo tak, jak to robię, czyli nakładając nań wędzidło metody, skłaniam się do zupełnego pozbawienia go szaleńczości. Zgadzam się z tym opisem swoich zamiarów, ale nie z patosem tego opisu. Bo co złego jest w chęci wyprowadzenia wariata na prostą? Wariat *tout court*, oczywiście, żadnej pomocy sobie nie

życzy, czerpiąc (opisany przez psychoanalizę) perwersyjny „zysk z choroby”. Podejście „terapeutyczne” raczej nie jest *inclusive*, jednakowoż wspólnota ludzi zdrowych na umyśle nigdy taka nie była. Wizja owej wspólnoty jako grupy ujarzmiającej i normalizującej ma podłoże lękowe i jako taka, nie osiąga pułapu rzetelnej diagnozy.

Moim „leczniczym” zapędem przytaknąłby jeden z ojców założycieli filozofii pragmatycznej, William James (brat Henry’ego), a to dlatego, że skądinąd był psychologiem, który nie planował hołubić obłądu swoich pacjentów, lecz – otóż to – chciał „zrobić z nim coś pożytecznego”. Jeśli szaleństwa interpretacyjne mają dać cokolwiek (przypominam, że najostrzejszym objawem wielu nerwic i psychoz jest „niemota”), to muszą odpowiednio się skanalizować. Zaprzeczanie ich istnieniu jest błędem, jednak błędem jeszcze gorszym jest upychanie ich nie tam, gdzie ich miejsce.

Zarysowane przed chwilą niepojednanie egzegezy z użyciem wyradza się w jałowy chaos, gdy wpada się w dezorientację, gdy interpretator nie wie już, do kogo, gdzie i po co mówi. Nie znaczy to bynajmniej, że porządek egzegez nieuchronnie kłóci się z chaosem użyc. Wręcz przeciwnie: egzegezy i użycia są sobie do życia koniecznie potrzebne. Porządek bez innowacji to śmierć z nudów, a chaos bez elementu stałości to śmierć z nadmiaru wrażeń. Dobitnie wyraził to Janusz Sławiński w znanym eseju *Miejsce interpretacji*:

Aby metodologiczna nieokreśloność interpretacji okazywała się twórcza, musi występować w kontekście wyraźnych określoności. Niczym powietrze są jej potrzebne wytrwale pielęgnowane dogmatyzmy szkół badawczych i literaturoznawcze tradycjonalizmy, gdyż tylko w odniesieniu do nich może szczęśliwie odkrywać i odgrywać swój antydogmatyzm i wolność od wytestowanych wzorów dociekań. Poza tym negatywnym kontekstem nieuchronnie wiotczeje i marnieje, jak każde zdeorientowana samowola (Sławiński, 2006: 107-108).

Zanim więc zabawimy się w ludycznego dekonstruktora, powinniśmy na wszelki wypadek ubezpieczyć się u solidnego strukturalisty. Da się to podać w formie recepty: rankiem stawiamy na rzetelną egzegezę, by w pełnym świetle południa świadczyć prawdzie; następnie oddajemy się popołudniowemu zluzowaniu, by wieczorem rzucić się w wir zabawy. Albo na odwrót: za dnia błyszczymy nieskrępowaną demonicznością, by w nocy zabrać się do dzielnego odgrzebywania niefotogenicznej prawdy tekstu<sup>1</sup>. Taki płodozmian wydaje się rozsądny i ożywczy.

<sup>1</sup> Nie ma racji Michał Paweł Markowski, gdy w podręczniku *Teorie literatury XX wieku* pisze, że według pragmatystów „interpretacja nie jest odkrywaniem prawdy tekstu”, bo prawdę się tworzy, a nie odkrywa (Burzyńska, Markowski, 2006: 491). Stanowisko pragmatystów w tej sprawie jest dużo „subtelniejsze”: według nich interpretacja „nie musi” być od-

Wyrafinowane roztrząsania teoretycznointerpretacyjne to jedno, a konkretna praca wykładania to drugie. Dobrze byłoby, gdyby pragmatyzm odnalazł zastosowanie w tym drugim, praktyczniejszym wymiarze. Wobec tego zapytajmy, co też pragmatyzm ma w tej mierze do zaoferowania. Po pierwsze, pragmatyzm nie daje interpretującemu konkretnego narzędzia pracy, jakim jest język opisu i analizy dzieła, działa za to „podprogowo”, dając „wybór” (jest to konsekwencja tezy, że teksty nie podpowiadają, jak należy je czytać). Co za tym idzie, pragmatyzm daje interpretującemu „świadomość” tego, że posunięcia interpretacyjne mają charakter użytkowy, czyli komuś i czemuś służą (i zaleca namysł nad tymi „komu” i „czemu”). Jeśli jest „wybór” i jest „świadomość”, to – po trzecie – pojawia się „odpowiedzialność” (interpretujący jest nią obarczony, ponieważ ma możliwość podejmowania świadomych wyborów). Po czwarte i ostatnie, pragmatyzm daje interpretującemu „wolność”: pozostawia mu swobodę działania, „akcji”, nie zmuszając go do z góry określonej „reakcji”.

Lekcja, jaką wyciągam ze szkoły pragmatycznego interpretowania (literatury), nakłania mnie do „zgody” na prawdę (tekstu), a odwołuje od „truchlenia” przed nią. Tak pouczony, wszem i wobec zachęcam: Czytelniku, poszalej sobie, byle z głową!

## Bibliografia

- Bielik-Robson A. (1998), *Nasza mała destabilizacja. O nietzscheanizmie nieustraszonym na marginesie książki Michała Pawła Markowskiego „Nietzsche. Filozofia interpretacji”*, „Res Publica Nowa” nr 10.
- Burzyńska A., Markowski M. P. (2006), *Teorie literatury XX wieku. Podręcznik*, Kraków
- Markiewicz H. (2006), *Mój życiorys polonistyczny z historią w tle*, cyt. za: M. Wołk, *Bibliograficzno-metodologiczne gawędy Henryka Markiewicza*, „Teksty Drugie” nr 5.
- Markowski M. P. (2003), *Postscriptum po latach: Interpretacja i literatura w: tegoż, Efekt inskrypcji. Jacques Derrida i literatura*, wyd. II, Kraków.
- Sławiński J. (2006), *Miejsce interpretacji*, Gdańsk.
- Stout J. (1982), *What Is the Meaning of a Text?*, „New Literary History”, vol. 14, no 1.

---

krywaniem prawdy tekstu. Nawet jeśli gdzieś tam migocze owa prawda, „sens sam w sobie”, to wcale nie szkodzi, by go pominąć. Jeffrey Stout podejście, które prezentuje Markowski, przypisuje „francuskim tekstualistom”: twierdzi, że sam – jako amerykański pragmatysta – nie wysuwa mocnej ontologicznej tezy o nieistnieniu znaczenia esencjalnego (por. Stout, 1982: 8 i nast.). Pragmatyczna swoboda w interpretacji – o „*Pani Bovary*” można powiedzieć wszystko – nie bierze się stąd, że *Pani Bovary* nic sama w sobie nie znaczy; jest ona następstwem heurystycznego założenia, że każdy sposób, w jaki czytamy *Panią Bovary*, może przynieść pożytek.